



Gorący sierpień 1968 roku

20 sierpnia 1968 r. o godzinie 23.00 rozpoczęła się operacja „Dunaj”, w której uczestniczyło około 235-240 tysięcy żołnierzy 5 państw Układu Warszawskiego. Jej głównym celem było zdławienie w Czechosłowacji procesu reform o charakterze demokratycznym, nazwanego „Praską wiosną”. Poszczególne siły inwazyjne liczyły odpowiednio: ZSRR – 170 tys., PRL – 40 tys., NRD – 10-15 tys., Węgry – 10 tys., Bułgaria – 5 tys. „Braterska pomoc” spacyfikowała wolnościowe dążenia naszych południowych sąsiadów. Jesienią 1968 r. sojusznicze wojska powróciły do swoich państw.

Bardzo ważną rolę w operacji „Dunaj” odegrała pograniczna Lubawka, przez którą przewinęły się do CSRS znaczące siły wojsk polskich i radzieckich.

- **Płk dypl. Jerzy Wróbel (1)**

„Miałem wraz z grupą, którą polecono mi sobie dobrać, zlikwidować obsadę czechosłowackiej strażnicy na przejściu granicznym w Lubawce, po to, by – gdy nadejdzie czas – przejściem tym mogły wkroczyć na terytorium Czechosłowacji wojska 11. Dywizji Pancerniej. Zadanie to było trudne. [...]

Trzeba było rozpocząć przede wszystkim od rozpoznania obiektu mojego przyszłego zadania – i tak się stało. Jeszcze tego dnia, kiedy zgłosiłem się do dowódcy 11. DPanc., tuż po odprawie, udałem się w rejon przejścia granicznego w Lubawce. W naszej strażnicy zostałem przebrany w mundur szeregowego i wraz z dowódcą strażnicy pojechaliliśmy na stronę czeską. Występowałem w roli jego brata – żołnierza z wojsk Obrony Terytorialnej Kraju, który przebywa na urlopie i przyjechał odwiedzić brata, a ten przy okazji pragnie mu pokazać, jak wygląda służba na granicy i jak żyją sobie po drugiej stronie przejścia jego czechosłowaccy koledzy.

Zostaliśmy bardzo mile przyjęci, osobiście przywitał nas dowódca strażnicy. Miałem dużo czasu, aby dokładnie przyjrzeć się przyszłemu obiektowi ataku. W myślach szkicowałem sobie wszystkie drogi dojścia, wtargnięcia do wnętrza obiektu, rozmieszczenie zabudowań. Był tu bowiem jeszcze urząd celny w osobno stojącym zabudowaniu, który też należało uwzględnić, bo mogła nadejść stamtąd niespodziewana pomoc. Nic nie miało prawa nas zaskoczyć. To był warunek powodzenia akcji. Tymczasem nikt po stronie czechosłowackiej nie podejrzewał, z jakim zamiarem tu przybyliśmy. [...]

Na drugi dzień po mojej lustracji, kiedy już sobie przemyślałem przebieg tego zadania, poleciłem ściągnąć wytypowanych przeze mnie ośmiu żołnierzy. Od tej chwili już wspólnie ćwiczyliśmy różne warianty zadziałania na granicy. Było stosunkowo dużo czasu, by się dobrze przygotować. Wykonałem wiele szkiców i na ich podstawie każdy z członków grupy mógł się dokładnie zorientować w sytuacji i w swoim przeznaczeniu. Ustaliliśmy sposób poruszania się, kolejność wchodzenia do akcji i kierunki podejścia pod obiekty. W grupie nastąpił podział na podgrupę uderzeniową i asekuracyjną.

Dodam, że nie była to nasza pierwsza akcja tego typu. Wielokrotnie na poligonach ćwiczyliśmy opanowywanie obiektów. Różnica była teraz taka, że zadanie to mieliśmy wykonać w naturalnych warunkach pola walki. I to wszystko.

Akcja została wyznaczona na 20 sierpnia. Mieliśmy zadziałać dokładnie o godzinie 23.50, na dziesięć minut przed wkroczeniem naszych wojsk na teren Czechosłowacji. Skalkulowałem, że był to wystarczający czas, by się uporać z Czechami.

O godzinie 22.00 podjechaliśmy wraz z grupą transporterem „skot” w rejon naszej strażnicy w Lubawce. Na miejscu było już trzech naszych generałów, wśród nich **gen. Ohanowicz**, który poinformował mnie jeszcze, że mam prawo decydować w czasie akcji o użyciu broni i otwarciu ognia. Dodał też, żebym zważał, że są to nasi sojusznicy i nie po to mnie szkolono do tego typu akcji, bym zaraz sięgał po broń i robił z niej użytek. Wszystko miało być załatwione po cichu i bez przelewu krwi. [...]

Na krótko przed 23.50 rozpoczęliśmy podchodzenie w kierunku czechosłowackiej placówki – skrycie, po cichu, w gotowości do natychmiastowego zadziałania. Przemieszczałem się na czele grupy. Byliśmy w swoim umundurowaniu polowym, na głowach mieliśmy czerwone berety. Rozpoczynaliśmy oficjalną akcję Wojska Polskiego, które za chwilę miało się przegrupować na terytorium Czechosłowacji. Byliśmy chyba jednymi z pierwszych żołnierzy wojsk Układu Warszawskiego, którzy wkraczali do CSRS, a już z pewnością pierwszymi wśród naszych wojsk 2. Armii.

Pamiętam, że kiedy podchodziliśmy do czechosłowackiej strażnicy, zaczął ujadać pies. W tej panującej ciszy było to denerwujące. Dopadliśmy szybko do obiektu, w którym była strażnica. Stała po lewej stronie, na prawo był urząd celny, a po środku drogi opuszczony szlaban graniczny. Grupa rozsypała się na boki i każdy począł robić swoje. Ja wtargnąłem przez drzwi prowadzące do środka strażnicy. W pierwszym pomieszczeniu było zgaszone światło – to mnie trochę zbiło z tropu. Pomyślałem w pierwszej chwili, że się przyczaili i za chwilę buchną ogniem. Ale panowała cisza. Za mną wskoczyło do środka kilku moich żołnierzy. Po chwili usłyszałem jakieś głosy dochodzące z sąsiedniego pomieszczenia, zapukałem, drzwi otworzył czeski wopista. Nie muszę mówić, że był zdziwiony naszym pojawieniem się. Moi chłopcy wiedzieli już, co mają robić. Zaskoczyliśmy pozostałych, mieli broń, ale nie zdążyli z niej zrobić użytku, nawet nie próbowali, tak jak przewidywałem. **Plutonowy Chojnacki** zastał dowódcę strażnicy kąpiącego się w wannie. Wszystko to trwało kilka minut i było po akcji. Droga do Czechosłowacji stała otworem dla naszych wojsk.”

- **Płk Longin Stegliński (2)**

„Do granicy z Czechosłowacją zbliżaliśmy się w godzinach wieczornych 20 sierpnia, idąc w kierunku na Kamienną Górę. To był dziwny przemarsz – około 11 km przemieszczaliśmy się równoległe do granicy. Przez cały ten czas Czesi mieli możliwość kontrolowania ruchów naszej kolumny.

Granice przekroczyliśmy około północy. Przejechaliśmy mostek, mijając obiekty graniczne nasze i czeskie, po czym przesuwaliśmy się w kierunku na Trutnov. [...] Wkrótce po przekroczeniu granicy miał miejsce wypadek. Na jednym z odcinków wąskiej drogi, biegnącej w głębokim wąwozie, przez wąwóz przerzucono mostek. Gdy znalazłem się na miejscu wypadku, dostrzegłem, że prawa balustrada mostku została uszkodzona, a w dole, w mule małego strumyka leży do góry gąsienicami nasz czołg. Wokół niego biegało trzech zszokowanych czołgistów. Ich dowódca, **kapral Kucharczyk**, nie żył, przyciśnięty pancernem czołgu. [...] Później dowiedziałem się, co było bezpośrednią przyczyną tego nieszczęścia. Otóż dowódca czołgu, kapral Kucharczyk, jechał stojąc w otwartym włazie – choć było to zabronione – i obserwował trasę przegrupowania. W pewnym momencie tuż przed czołgiem przebiegł czeski policjant. By go nie najechać, podał komendę: „Stój”. Kierowca zareagował gwałtownie, czołgiem zarzuciło, uderzył o barierkę mostku i spadł w dół, a stojący we włazie kapral Kucharczyk został przygnieciony.”

- **Pan A.S. (3)**

„Mimo iż w 1968 r. miałem 8 lat i od niedawna mieszkałem w Kamiennej Górze, to jednak dobrze pamiętam dzień, kiedy wojska wjechały do naszego miasta. Mieszkałem wtedy przy ul. Lubawskiej. Przejazd wojsk w kierunku Czechosłowacji trwał kilka dni. Część sprzętu przemieszczano na platformach kolejowych. Ruchem na przejazdach kierowali radzieccy żołnierze. Byli to zwykle bardzo młodzi ludzie, bardzo zastraszeni, nie mający najmniejszej ochoty do walki. Pamiętam jak sąsiadka jednemu z nich przyniosła obiad w pojemniku. Żołnierz był nieufny, poczekał aż kobieta oddaliła się i dopiero wtedy schowany w krzakach posilił się. Kolumny ciężarówek, transporterów opancerzonych i czołgów jechały od strony Marciszowa i w mieście przemieszczały się ulicami: Legnicką, Katowicką, Wojska Polskiego, Waryńskiego, Lubawską. Bardzo ucierpiała nawierzchnia tych ulic, a na skutek drgań wywołanych przejazdem czołgów pękały ściany domów. Jeden z czołgów stał zepsuty w Ptaszkowie. Oblegały go dzieci. Inny czołg wjechał w narożnik domu przy ul. Katowickiej. Część czołgów zdjęto z platform na dworcu kolejowym w Kamiennej Górze i pomknęły one w stronę Lubawki ulicami: Świerczewskiego (obecnie Papieża JP II), Sienkiewicza i Lubawską. Pamiętam, że mieszkańcy miasta byli przychylnie ustosunkowani do żołnierzy. Częstowali ich owocami, jedzeniem, napojami. Dzieciom niektórzy wojskowi za medaliki religijne oddawali swe odznaki. Po latach dowiedziałem się również, że przed inwazją na CSRS w 1968 r. spora ilość wojska stacjonowała w lesie koło Jaczkowa.”

- **Kmdr Kazimierz Bielecki (4)**

„Do kraju wracaliśmy całością sił batalionu. W rejonie lotniska w Hradec Kralove dołączyły do nas nasze dwie kompanie z 10. i 11. Dywizji Pancерnej i stąd transportem kolejowym ruszyliśmy do granicy, którą przekroczyliśmy w Lubawce.

Z tym, że większość batalionu, wraz ze mną, została przerzucona do Dziwnowa śmigłowcami. [...]"

• **Sprawozdanie Powiatowego Sztabu Wojskowego w Kamiennej Górze za okres od 18.04.1968 r. do 20.10.1969 r. (5)**

„Obchody XXV Rocznicy powstania LWP dały okazję do przypomnienia całemu społeczeństwu chlubnych tradycji naszego oręża. Spotkania z oficerami LWP oprócz przypomnienia historii LWP były propagatorami powszechnej ludowej obronności. Przemarsz jednostek WP i Armii Radzieckiej przez nasz teren w czasie ćwiczeń w miesiącu czerwcu 1968 r. i w czasie **wypadków czechosłowackich** dał społeczeństwu naszego powiatu pokaz siły naszych Sił Zbrojnych, a jednocześnie przyczynił się do popularyzacji powszechnej samoobrony. Niektóre TOS-y [Terenowe Oddziały Samoobrony] brały praktyczny udział w zabezpieczeniu przemarszu tych jednostek organizując boczną regulację ruchu siłami drużyn porządkowo-ochronnych. Regulację tę organizowały następujące TOS-y: TOS przy MRN Lubawka, TOS przy GRN Krzeszów. [...]"

Jan Lubieniecki

Źródła: Teksty nr 1,2 i 4 - „Karta”, nr 6 z 1991 r., s. 32-33, 34-35 i 53; tekst nr 3 – wywiad P. Skrzypek z kl. II b LO; tekst nr 5 – AP JG, PPRN w Kamiennej Górze 1950-1975, nr 50, s. 65.

Chelmsko Śląskie w 1945 roku (3)

Pionierski czas tworzenia życia polskiego

Tu byli Sądeczanie

„Czas płynął. Polskość umacniała się coraz bardziej. Wtem otrzymałem wiadomość, że ruszyła Politechnika Gdańska a na niej Wydział Budowy Okrętów. To już mnie nic i nikt nie potrafił utrzymać w Szymrychu. Przekazałem swoje obowiązki **Zenkowi Krzanowskiemu** i pojechałem do Gdańska. Tam rozpocząłem życie zawodowe okrętowca i pozostałem mu wierny przez całe moje życie.

Najpierw wyjechałem do Gdańska w październiku 1945 r. wzięwszy urlop, a następnie od grudnia 1945 r. byłem już i pozostałem Gdańszczaninem!

Moi towarzysze czasów „Dzikiego Zachodu” pozostali tam, by następnie po latach część z nich z powrotem wyjechała do Sącza – tu zmarli i zostali pochowani. Wielu pozostało w Szymrychu i tam też znaleźli swoją nową ziemię.

Wyjechali: **Tadeusz Pudło, Zbyszek Kmiec, Mietek Turski, Adam Michalewski...** z powrotem na Podkarpacie, **Kazek Giza** wyemigrował do Anglii, **Edek Siemiradzki** wrócił do Bielska i Zakopanego, by w 1947 r. wyemigrować do Francji, gdzie umarł. W Szymrychu zmarli: **Frydek Wall i Leszek Sobejko** i tam zostali pochowani, a ulica wychodząca na wschód z rynku w Szymrychu do dziś nosi nazwę Sądeckiej, zaznaczając, że tu byli Sądeczanie. Pozostał tam mój następca Zenek Krzanowski. Życie upłynęło mu tam w pracy w administracji państwowej. Szanowany przez wszystkich stał się symbolem i kontynuatorem tych pierwszych dni Polskości, którą przyniosła tam nieliczna grupa ówczesnych pionierów „Dzikiego Zachodu” - Sądeczaków.

„Najazd” Czechów

Doszły do mnie jeszcze wieści o wejściu w listopadzie 1945 r. wojsk czeskich do Szymrycha (w tym czasie byłem w Gdańsku), zamieszanie i spory graniczne i wycofanie się Czechów pod naciskiem naszych oddziałów. Grupa polska przetrwała ten „najazd” dzielnie i narobiła alarmu na cały Śląsk. Wreszcie dowiedziałem się, że na polu koło stacji kolejowej, gdzie mieszkałem w pobliżu, odkryto przypadkowo w 1946 r. masowe groby pomordowanych przez Niemców – kogo? Polaków, innych więźniów czy „Zwangsarbeiterów”? Nic o tym nie wiedzieliśmy, a Niemcy milczeli. Ile takich grobów pozostawiła wojna?

Warto było być szabrownikiem?

Na temat tamtych czasów to przez całe moje życie musiałem zazwyczaj cynicznie – żartobliwie mówić, gdy spotykałem się z zasłużonymi pionierami tamtych lat i pytaniami, dlaczego nie jestem z tego tytułu odznaczony: „Ja nie miałem szczęścia – odznaczenie dostawało się dopiero po wyszabrowaniu ponad 2 milionów, a ja wyszabrowałem tylko 1,9 miliona!” Nie wyszabrowałem nic, a szkoda. Wyjechałem z Szymrycha w zdobyczej kurtce skórzanej, w bryczesach i butach z cholewami po żandarmie i aż w dwóch ubraniach! Ale wyniosłem duże doświadczenie życiowe, zadowolenie z dobrze spełnionego obowiązku

w najtrudniejszym okresie zagospodarowania Ziemi Zachodnich i Północnych.

W 1988 r. za pionierstwo na Śląsku i w Gdańsku zostałem odznaczony w Wejherowie – Medalem Rodła.

Podróż godna filmu przygodowego!

W październiku 1945 r. wziąłem urlop od moich obowiązków w Szymrychu i powędrowałem do Gdańska. Nie było to takie proste. Trzeba było przejechać aż do Częstochowy różnymi kombinacjami, bowiem dopiero od Częstochowy szedł pociąg dawną magistralą węglową do Gdyni. Naturalnie po drodze był cały „Dziki Zachód” z wszelkimi komplikacjami i niebezpieczeństwami. Uzbroiłem się więc w dwa pistolety, dwa granaty, ubrałem skórzaną kurtkę, buty z cholewami i pojechałem. Ale jak? Miałem w tym czasie małą setkę „Phänomen” [motocykl]. Nappełniłem więc bak do pełna, na mały bagażnik przytroczyłem kanister benzyny 20 l, na plecy plecak i jazda! Nie było realnych możliwości innego transportu jak tylko własny i to z zabezpieczeniem benzyny. Ruszyłem na wschód początkowo znanymi mi drogami. Pustka wszędzie, gdzieniegdzie tylko dymią kominy, a to oznaczało, że tam ktoś był. Szczęśliwie dojechałem do rejonu Świdnicy, gdy wysiadł mi motor. Stałem więc bezradny na drodze, a wokół pustka. Naraz zobaczyłem z daleka jadącą ciężarówkę, wojskową, radziecką. Kierowca, młody chłopak, zatrzymał się i pyta, co mi się stało, dokąd jadę? On jechał z Pragi czeskiej do Wrocławia. Doszliśmy do wniosku, że to wspólna droga. Motor wsadziliśmy na skrzynię, a sami w szoferce zajadaliśmy kielbasę popijając wódkę i zagryzając... cebulą. Trasa biegła przez zniszczone i puste wsie. Nigdzie nie było widać życia. Za Świdnicą zaczęła nas wyprzedzać radziecka dywizja zmotoryzowana. Czekaliśmy cierpliwie aż się przetoczy. Tak dojechaliśmy do autostrady pod Wrocławiem. Tu obok drogi zrobiliśmy postój, rozpaliliśmy ognisko i wkrótce do nas dołączyli dalsi kierowcy z tego oddziału jadącego z Pragi. I tak pod Wrocławiem 3 Rosjan i 1 Polak jedli, pili i naprawiali mój motor. Wreszcie był sprawny. Pożegnaliśmy się od serca, podzielili żywnością, którą mieliśmy i oni pojechali do Wrocławia, a ja autostradą kompletnie pustą dalej aż do Gliwic. Nic tylko pustka i ślady wojny. Odrę przekroczyłem w Opolu, gdzie był czynny most i tu na nim kontrolowano wszystkich. Był to główny punkt kontroli „szabru”. Wobec tego co się działo na moście, to wszystkie filmy amerykańskie z czasów „Dzkiego Zachodu” są niczym! Gdy wreszcie minąłem szczęśliwie Gliwice, zatrzymałem się u jakiegoś sołtysa i wreszcie się przespałem.

Dalej to już był „spokojny” kraj. Drogami Podkarpacia pomału jechałem przez Andrychów, Suchą, Limanową aż do Nowego Sącza. Tu już byłem spokojny i wieczorem dojechałem do Sącza. Samotnie na „setce”. Nikt nie chciał wierzyć, że mi się udało! Głupi ma szczęście – a ja je miałem!” (koniec)

Źródło: Jerzy Kotlarski, W służbie klasyfikacji statku. Pamiętnik życia, Sopot 1997, mpis pow., s. 73-76.

Krzeszowska inspiracja „musica sacra”

Profesor Rudolf Walter, największy znawca muzyki kościelnej Śląska, urodził się 24 stycznia 1918 r. we wsi Wiry (Gross-Wierau) w powiecie świdnickim (około 45 km od Kamiennej Góry). Po ukończeniu nauki w Gimnazjum Humanistycznym w Ząbkowicach Śląskich rozpoczął studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Bytomiu, a następnie na uniwersytetach we Wrocławiu i w Moguncji edukował się w zakresie muzyki kościelnej i szkolnej, muzykoznawstwa, germanistyki, historii sztuki i filozofii. W 1949 r. obronił pracę doktorską na temat muzyki organowej **Maxa Regersa**. W 1950 r. podjął pracę w Wyższej Szkole Muzycznej w Moguncji, gdzie założył wydział muzyki kościelnej, którym kierował do 1967 r. W tym czasie powołano go na stanowisko kierownika wydziału katolickiej muzyki kościelnej i organowej oraz mianowany został na profesora zwyczajnego w Wyższej Szkole Muzycznej w Stuttgarcie. W latach 1950-1952 był wykładowcą nauk muzycznych na uniwersytecie w Würzburgu, a w latach 1964-1998 na uniwersytecie w Moguncji. Po przejściu na emeryturę w 1983 r. w dalszym ciągu intensywnie pracował.

Już w wieku 24 lat (1942) rozpoczął pisanie tekstów o śląskiej muzyce organowej i kościelnej. W następnych latach opublikował na ten temat wiele artykułów i rozpraw, a także dwie książki. Dla nas - mieszkańców Ziemi Kamiennogórskiej - najcenniejsza jest „**Historia muzyki klasztoru cysterskiego w Krzeszowie od początku XVIII wieku do roku 1810**”. We wstępie do tego dzieła Rudolf Walter napisał: „Klasztor w Krzeszowie odwiedziłem po raz pierwszy będąc gimnazjalistą. W pobliskiej Kamiennej Górze (wtedy Landeshut) mieszkali moi krewni, u których wielokrotnie spędzałem wakacje. To dzięki nim jeździłem koleją zadrneńską do opactwa w Krzeszowie na przedwieczorne nabożeństwo niedzielne. Odświętna dwuwieżowa fasada kościoła mariackiego, uroczyste nabożeństwo w kolorowym pomieszczeniu kościelnym i wyuczony śpiew chóralny zakonników, wywarły na mnie silne wrażenie. [...]

Po upływie 30 lat [w latach 70. XX w.] wróciłem do śląskiej ojczyzny, aby przeprowadzić badania naukowe i nagrać płytę z muzyką organową. W podróży do Krzeszowa towarzyszyła mi małżonka, która odległą górską miejscowość również znała i kochała.

Poza wspaniałym budynkiem kościoła przyciągały wzrok organy **Michaela Englera**. W osobie benedyktynki i przełożonej zakonu żeńskiego, pani **Gertrudy Wolanki († 1991)**, znaleźliśmy godną podziwu przewodniczkę i w następnych latach niestrudzoną pomocnicę. Przed pożegnaniem otworzyła nam siostra Gertruda stojącą obok organów szafę ze starymi materiałami muzycznymi. Po przejrzeniu pierwszych teczek zdecydowaliśmy, by materiał ten zarejestrować, zbadać i historycznie uporządkować. [...]

Na podkreślenie zasługują również inne publikacje prof. Waltera, np. „Wrocławska muzyka katedralna w latach 1805-1945”, „Śląska katolicka pieśń kościelna w czasie kontrreformacji”, „Pielęgnacja muzyki w śląskich zakonach w XVII / XVIII wieku”,

„O historii śląskiej muzyki organowej”.

Niezależnie od pracy naukowej i dydaktycznej prof. Rudolf Walter zdobył opinię znakomitego organisty i kierownika chóru. Założone przez niego chóry „Kissinger Kantore”(1948) i „Kapella Palatina Heidelberg” (1961) prowadził osobiście w trakcie koncertów i nabożeństw, a także nagrań radiowych i płytowych. Jako organista występował w Niemczech i innych krajach. Spośród nagrań płytowych warto zapamiętać te, które szczególnie są nam bliskie, a mianowicie: „Śląska muzyka organowa od XV do XVIII wieku”, „Śląska muzyka organowa XIX i XX wieku”, „Śląska muzyka organowa”.

Jan Lubieniecki

Źródło: Laudacja do nagrody kulturalnej Dolnej Saksonii i Śląska w 1998 r.

Życie i praca w obozie

Na początku roku 1944 Niemcy wywieźli autora wspomnień z Równego na przymusowe roboty. Od stycznia 1944 do stycznia 1945 przebywał on w obozie pracy w Raciborzu. Kiedy wojska radzieckie zbliżały się do Górnego Śląska, 27 stycznia 1945 r. Niemcy zorganizowali w Raciborzu kolumnę ze 100–120 ludzi z obozu pracy (przeważnie Polaków, Ukraińców, Rosjan i Białorusinów) i kazali jej bez konwoju podążać na zachód. Kolumna szła przez Głubczyce, Nysę do Kamiennej Góry, spotykając na drodze liczne trupy gonionych w głąb Niemiec więźniów obozów koncentracyjnych. 15 lutego niewolnicy pracy przymusowej dotarli do Kamiennej Góry. [...]

„Przed nami było miasto Landeshut [Kamienna Góra], tam nas zakwaterowali w barakach. Było to 15 lutego, a wyszliśmy z Raciborza 27 stycznia [1945 r.], 20 dni w drodze, w marszu. Spało się, gdzie się dało, jadło się, co się dało, nie wyłączając koniny. Przyznam się, że konina mi nie smakowała. Była zupa z koniny bardzo mdła, a mięso słodkawe.

W Landeshucie skończyła się nasza wędrówka. Na drugi dzień wydali nam łopaty i kazali kopać przeciwtankowe [przeciwczołgowe] rowy. Kopali my tak aż do 30-go marca. 31 marca załadowali nas do wagonów i przywieźli do miasta Bolkenhajm [Bolków]. W Bolkenhajmie też kopali rowy aż do dnia wyzwolenia. Było to 6-go maja [1945 r.].

Opiszę jeszcze kilka szczegółów w Landeshut i Bolkowie. W Landeshut z początku dali nas do baraków, a później do piętrowych bloków. Spali na siennikach. Miasto Landeshut było małe, ale ładne. Ludność jeszcze mieszkała. Po pracy puszczali nas do miasta i wsi. Wiara co dnia szła na żebry: przynosili kartofle, mleko, chleb. Przy piecu była zawsze kolejka. Później zaczęli z miasta przynosić poncz. Był to smaczny napój, ja sam chodziłem za tym ponczem. Był bardzo tani, w krótkim czasie go zabrakło, wiara wybrała.

Raz udało mi się kupić pudełko sacharyny. Przy mnie spał jeden młody gość, **Nowicki**, umiał rozmawiać po niemiecku. Ten zawsze przynosił do jedzenia coś lepszego. Czasami dawał i mnie. Jeden raz ja poszedłem z nim do miasta. Zachodzimy do sklepu. Tam Niemka. Mówi do niej po niemiecku, aby coś sprzedała, bo jesteśmy głodni. W tym momencie zachodzi jakiś cywil. Niemka jemu coś mówi po niemiecku. Ten zwraca się do nas, mówi: kom, prowadzi nas. Ja w strachu, myślałem, że to szpicel. Idzie w przód, my za nim. W jednym miejscu kolega skoczył w boczną ulicę i zwiął. Ja idę. Niemiec jak zobaczył, że nie ma mego kompana, pyta się mnie, gdzie poszedł. Mówię mu, że nie wiem. Prowadzi mnie daleko, ja już miał wielki strach. Nareszcie zaprowadza mnie do jakiegoś domu. Tam były dwie kobiety. Coś im powiedział i sam poszedł. Mnie już strach minął. Jedna kobieta przynosi mi talerz zupy, była jakaś polewka. Ja zjadłem i wróciłem do koszar. Mój kolega już tam był. Strasznie ucieszył się, kiedy mnie zobaczył, że ja wróciłem cały. Bał się, że mi zrobią krzywdę.

Nasz lager nazywał się Boberlager, może ta nazwa od rzeki Bobr [Bóbr],

która tuż płynęła. Po sąsiedztwie z naszym lagrem [obozem] był lager pasiaków [filia Gross-Rosen]. Często z okna obserwowałem jak ich tam ganiali, bili, prowadzili na roboty pod silną ochroną [strażą] z psami. W tyle zawsze było kilka osób tak słabych, że koledzy ich prowadzili pod rękę. Raz obserwowałem taki obrazek. Auto podjechało pod jeden barak, otworzyli klapy, zaczęli wynosić trupy, sztywne z otwartymi oczami. Byli niektórzy nadzy, inni w kalesonach. Jeden brał za nogi, drugi za ręce, rozmachnęli i rzucali do auta. Na aucie był jeden człowiek, który układał jak drzewo. Było tych trupów bardzo dużo.

31 III 45 rano kazali nam zbierać manatki i wychodzić z baraku. Poprowadzono nas na stację, tam ładujemy się do wagonów i jedziemy. [...] Przyjechaliśmy do miasta Bolkowa. Tam zakwaterowano nas w lagrach takich samych jak w Landeshut. Musieli zrobić tylko porządki. Na drugi dzień, był to 1-szy dzień Wielkanocy, pognali nas do pracy, kopać rowy przeciwtankowe. [...]

Nasze baraki były za miastem Bolkenhajn, o kilometr od miasta, a kopali przeciwtankowe rowy co najmniej pięć kilometrów dalej. [...]

Jednego razu w nocy wybuchła straszna strzelanina. Wybuchy granatów, jakieś detonacje. My pozrywaliś, szybko obuliś i ubraliś. Byłem pewny, że przerwaliś Ruskie i zajmują miasto. [...] Na drugi dzień dowiedzieliśmy, że na stacji paliły się wagony z amunicją i stąd te strzały. Kto podłożył ogień, tego się nie dowiedziałem, widziałem tylko szczątki wagonów. [...]

W pierwszych dniach maja [1945 r.] dowiedzieliśmy, że Hitler nie żyje i walka toczy się w Berlinie. Triumfowali my strasznie. [...]

Władysław Gruszecki

Wybór i oprac. Ryszard Kincel.

Źródło: „Nowiny Jeleniogórskie”, nr 11 z 14.03.1984 r., s. 9. W tekście poprawiono błędy i stylistykę, a kresowe właściwości językowe pozostawiono bez zmian.

Redaktor Naczelny: Jan Lubieniecki

Skład Komputerowy: Przemysław Rejczak; Kamil Stawiarski z kl. IIF LO